Tygodnik literacki
literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 2. Poznań, dnia 13. Stycznia. 1840.

Literatura zagraniczna.

De vita hominis aeterna
scripsit Bronislaus Ferdinandus Trentowski.
Friburgi Brisigavorum.

(Ciąg dalszy.)

4) Wnioski z tych stósunków o życiu wiecznem. — Przeszłość jest wieczność, gdzie się nic nie zmienia, nie porusza, gdzie nie ma żadnéj żądzy, żadnéj myśli, ale cisza głęboka, grobowa, jakby wśród samych skamieniałości; teraźniejszość przeciwnie jest nieustającém życiem, ruchem, działaniem. Z po za grobu więc nie ma i nie może być żadnego stósunku do życia. Żywi tylko żyją ze żywymi, umarli z umarłymi; tam ruch ciągły, tu wieczny odpoczynek. — Tamten świat, jak go zowiemy, nie jest świat inny, w innych miejscach, bo świat tylko jest jeden; ale jest to świat ten sam, ino świat przeszłości. Tak jest obszerny jak przeszłość, tak wypełniony jak przeszłość, i granice jego coraz posuwają się w przyszłość. Każda nowa śmierć jest rozszerzeniem się tych granic. Na ich końcu utrwala się w wieczność każdy nowo przybyły zmarły; a z koleją bieżącego czasu na ziemi usuwa się coraz daléj w głąb krainy wiecznéj. — Zmarli tam żyją całém życiem swojém, kochają, nienawidzą, wojują i t. d.; tylko że te ich uczucia, te ich działania, utrwaliły się na wieczność. — Dzień śmierci człowieka jest dniem sądu jego. Odbywa go Bóg-człowiek, jako wzór doskonałego człowieczeństwa, z którém idą w porównanie sprawy każdego ułomnego człowieka. Według spraw jego będzie mu nagroda. Jedni idą do piekieł, ale ci tylko, co już za życia tam byli, i sumienie było im madajowém łożem; inni do niebios, ale też ci tylko, co już za życia niebieskiego kosztowali pokoju; inni nakoniec trwają w cierpieniach czyszczowych, gdy niepewna jest przewaga między dobremi a złemi sprawami. — Umarli zachowują ciało, ale nie to, co było za życia i co się w proch rozsypało, lecz jakby odblask tego ciała, w którém już nie ma czucia, ni dolegliwości; zachowują i umysł także, ale ten już nie ulega wpływom ciała, nie podnosi się w naukę i w wiadomości, lecz stęgł niejako z całą wiedzą swoją za żywota. Dusze więc takiego ciała i takiego umysłu są jakby żyjące w pamięci naszéj obrazy rodziców, przyjaciół naszych, z wszystkiemi temi właściwościami i przymiotami, po których znaliśmy ich za życia. Z taką to duszą i z takiém ciałem zmartwychwstajemy po śmierci na sąd Boży i do życia wiecznego. — W różnym czasie zmarli, jeżeli się znali za życia, znają się i po śmierci, w krainie wieczności; kogo zaś tu nie znali i nie widzieli i tam go nie spotkają.

Otóż w osnowie nauka Trentowskiego o życiu wieczném we filozofii po raz pierwszy w takiém pojęciu wyłożona do umiejętnego przekonania. Każdy pojmował, że ciało nie może mieć przymiotu nieśmiertelnego trwania; a duch, choć nieśmiertelny, nie da się znowu ująć w formy ciała. Była to niejako Scylla i Charybdis wszelakich rozumowań o żywocie pośmiertnym. Ztąd poszło, że jedni, wbrew nauce chrześciańskiéj, wierzyli w nieśmiertelność człowieka historyczną, żyjącego po śmierci pamięcią dzieci, przyjaciół, narodu: inni zaś tłómaczyli ją sobie, jako metempsychozę, jako przechodzenie pierwiastków ciała i umysłu naszego w skład innych ciał, które znowu się rozkładają i w inne przechodzą i tak bez końca. W ogóle atoli ponieważ ciało wydawało się niższém od ducha, duchowi tylko przyznawano nieśmiertelność, i teologia nawet nauczała, że tylko dusza w człowieku jest nieśmiertelna. A jednak Chrystus Pan powstał z martwych, z duszą i z ciałem, z tém samém ciałem, co włócznią na krzyżu przebite było, któréj to rany dotknął się palcem swoim Tomasz apostoł; a poucza ewangelia, że i my ludzie w dzień sądu pańskiego powstaniemy z martwych w tych samych ciałach, co dzisiaj.

Ominął te wszystkie trudności nasz autor, i filozoficznie wytłómaczył naukę Chrystusa o żywocie wiecznym. Dokazał tego myślą głęboką, oryginalną, którą

pochwycił właściwe pojęcie tego, co jest człowiek każdy z osobna. Duszę i ciało ma każdy człowiek, są to gatunkowe jego własności, one więc, jako wszystkim ludziom spólne, nie mogą stanowić człowieka z osobna, jego wyszczególnionéj osoby, jego indywidualności. Nie gatunek zatém, nie ciało i dusza, stawa przed sąd Boski, przechodzi do żywota wiecznego, ale osoba ta właśnie co umiera, wykończona przez czas, stęgła przez śmierć. Jako zaś człowiek gatunkowy jest jednością ciała i duszy, tak i człowiek indywidualny jest jednością zewnętrznéj swojéj postaci i wewnętrznego swojego zasobu, uczuć, myśli, wiedzy i t. d. Ten, co żyć przestaje i stawa, jako dusza zmarła u bramy wieczności, jest to zmartwiała fizyonomia ciała, a w niéj równie zmartwiałe wszystko, co stanowiło jego duszę.

Ta to myśl szczęśliwa, zda się, rozwiązała kwestyą najważniejszą dla rodzaju ludzkiego, bo kwestyą wiecznego życia; a co to jest wieczność! bo kwestyą, którą pierwszy rzucił rozumom ludzkim Plato, a rozwijały ją wszystkie następne wieki; kwestyą, która każdego wskroś dreszczem przejmuje, gdy pomni, że śmierć go czeka, że go nie minie, że co krok bliżéj niéj stoi, a myśl się przeniesie po za grób; kwestyą nareszcie, którą Kato na chwil kilka przed zadaniem sobie ciosu śmiertelnego zimną krwią rozważał. Ta myśl pogodziła filozofią z religią, wyjaśniła prawdziwą wieczność, rozwarła do niéj bramy, i ukazała w całéj świetności królestwo niebieskie, gdzie wszystko, co żyło, co się stało, wszystkie twory, wszystkie dzieje minionego świata żyją żywotem wiecznym, ponapinane w przeszłości, jakby gwiazdy na sklepieniu niebios. Ta więc myśl nastroić musiała rozkoszą pierś twórcy swojego i słyszymy autora z uniesieniem odzywającego się: »cóż nad to może być prawdziwszego, wznioślejszego lub piękniejszego, co tak jasnego i odpowiedniego nauce chrześciańskiéj, co wreszcie przyjemniejszego i słodszego dla rodzaju ludzkiego?«

Na zarzuty, jakieby téj nauce zrobić można:

że taki żywot wieczny nie jest żywotem, ale raczéj bytem, trwaniem wiecznem, niejako skamieniałością życia;

że nie jest żywotem, jaki Chrystus zapowiedział, który mówi, że w niebiesiech będziecie podobni aniołom i oglądać będziecie Boga, ojca waszego;

że wiara w taki żywot prowadziłaby tylko do szukania rozkoszy na tym świecie, albo do samobójstwa: autor w końcu dziełka swojego sam odpowiada, i zbija je łatwo, zbijając punkt, z którego wychodzą, to jest zmysłowe zapatrywanie się na żywot wieczny.

Z większém prawem możnaby autorowi zarzucić, że myśl swoją za nadto do religijnych o żywocie wiecznym pojęć nagina: i tak zbyt nam się zdało naciąganém, cośmy na str. 54. czytali o czyszczu, na str. 57. o ubłogosławieniu świętych. Naginanie takowe tém mniéj da się usprawiedliwić, że duch nauki ewangelicznéj o żywocie wiecznym, inny jest całkiem, niżeli myśl filozoficzna, do przekonania wyświecić ją usiłująca. Tam Chrystus, Bóg i człowiek jest zbawicielem rodzaju ludzkiego, któremu okupił żywot wieczny przez śmierć swoją, i pod tym względem stał się fundatorem religii nowego przymierza; tu tylko jest nauczycielem, filozofem. Są to dwa bardzo różne stanowiska, z których rzecz ta sama, różnie pojmowaną być musi. Żywot wieczny Trentowskiego nie zawisł w niczém od religii, bo religia jest tylko cząstką indywidualności człowieka, i dla tego nie może być warunkiem jego nieśmiertelności. Z tego samego względu, — czego autor jakby z umysłu nigdzie nie dotknął, — takiego żywota wiecznego, co ludzie, dostępują i zwierzęta, gdy zdechną, i rośliny, gdy powiędną, i kamienie, gdy się rozsypią, bo i to są indywidualności wyrobione na materyi i sile. Człowiek, według Trentowskiego, nie wyróżnia się od nich duszą nieśmiertelną, jest on tylko potęgą twórczéj doskonałości od nich różny (perfectissimum Dei singulum, str. 46). Nie taki jest duch wiary ewangelicznéj.

Alić tu nie oto nam chodzi, aby wykazać, o ile wyróżnia się nauka naszego autora o żywocie wiecznym, od nauki tego lub owego kościoła; odpowiedziałby on nam, i zapytał słusznie: »quid est igitur excelsius, vera doctrina, an christiana?« O żywotnie raczéj całéj nauki chodzi pytanie, o jéj prawdziwość, rzeczywistość. Zwątpićby o niéj trzeba po przeczytaniu 42éj uwagi, z przypisków dołączonych do rozprawy. Przytaczamy ją dla tego w dosłownem tłómaczeniu:

»Człowiek, który do wiedzy zdąża, jest prawdziwym katem prawdy. Jeżeli chce zbadać ciało, rozkrawa je ostrym nożem anatomicznym; podobnie rozrzyna ducha ostrzejszym jeszcze żeleźcem rozumu. W téj to zabójczéj pracy przychodzi do abstrakcyi, jak np. duszy i ciała, i to rozumowi jego zaszczyt przynosi. Lecz jeżeli abstrakcye te bierze za rzeczywistości, jeżeli przepomina, że ciało i dusza, z osobna uważane, wylęgiem są tylko siły jego wyobrażalnéj, nie utworami natury, równie błądzi, jak gdyby sny swoje brał za rzeczy na jawie.«

Trentowski człowieka, tę jednostkę rzeczywiście istniejącą, rozkroił myślą anatomiczną nie już na duszę i ciało, ale na dwa człowieczeństwa (seitates): jedno

naturalne, stworzone, nienasze, niewłaściwe (s. impura), i tém jest naturalna jedność duszy z ciałem; drugie indywidualne, zrobione, swoje właściwe każdego człowieka (s. pura), i tém jest osobistość nasza, z owéj naturalnéj jedności rozwijaniem się i przenikaniem sił duszy i ciała wyrosła. A ten podział, ta sekcya dotąd niepodjęta przez nikogo, jest nową myślą i czyni zaszczyt autorowi. Lecz gdzież kiedy one dwa człowieczeństwa istniały z osobna w rzeczywistości? Człowiek naturalny zawsze był indywidualnym, a indywidualny naturalnym: bo to jest właśnie życiem człowieka, że owa naturalna, gatunkowa spojnia materyi i ducha, wciąż się wyrabia na indywidualność, na osobę, jakby nić puszczona na warsztat, jakby głaz surowy pod dłótem snycerza. Zrobi się coś z tego głazu, co nie jest głazu ni własnością, ni właściwością; będzie tam kształt, będzie myśl przelana w zimny kamień z natchnionéj duszy sztukmistrza; ale jestże to coś, co myślą oderwane od materyału, mogłoby samo przez się rzeczywiściéć? Tak i indywidualność nasza, którą nasiąkło naturalne jestestwo nasze, nie da się rzeczywiście, lecz myślą tylko uważać w osobni. Kiedy ją więc autor przenosi do wieczności w krainę zmarłych, przenosi tylko utwór wyobraźni własnéj, a nie rzeczywistość; przenosi obraz zdjęty z rzeczywistości, który sam myślą zdjął i pochwycił, a nie coś, coby się samo zdjęło, i w tém zdjęciu istniało samotrzeć na wieki. Powiedziałby może kto na obronę autora, jako nie myśl, ale śmierć na dwa człowieczeństwa człowieka rozkłada, z których jedno wraca, zkąd przyszło, drugie trwa wiecznie. Lecz człowiek nie jest chemicznem połączeniem się naturalności i indywidualności swojéj na coś trzeciego, coby, jak n. p. powietrze, rozłożyć można na pierwiastki i złożyć na odwrót. Trup jest nie tylko trupem ciała, ale i fizyognomia na niém wyrytéj za życia, jego postaci, kształtu, urody, przywar. Oderwać więc od ciała, co się rzeczywiście oderwać nie da, i utworzyć z tego zewnętrzną postać zmarłego, jest to utworzyć sobie abstrakcyą przez odbytą sekcyą myśli.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Ja.

Widziałeś okręt gdy burzą miotany,
Leci na bezdeń, — wypłynie, przepada,
A fale w koło tłuką się o ściany,
A z góry piorun z wściekłością wypada.

Słyszałeś majtków wtedy hałas dziki,
Te pomieszane, zmącone okrzyki:
To jest mój obraz — taka w duszy fala,
To mię w raj wznosi, to mię w piekło zwala.

Skłócone chęci jak wiatry szaleją,
To hukną zgrozą — to wioną nadzieją,
A kiedy miną namiętności burze,
Znów taka w sercu cisza, jak w naturze!

W źrenicy błyszczy tęczowa pogoda,
I wyobraźnia znów zielona, młoda,
Stroi się w piękne majowe równianki;
Wtedy na lutni, strony brzmią radośnie,
Śpiewam pochwały przyrody, kochanki,
Wesoło, męzko, rozgłośnie!

Czasem z niechcenia zmącą się me strony,
I lutnia wyda tęskne, ciche tony.
Dusza je zaraz w przypomnienie wplecie;
Porzucam śpiewy, murawy i kwiecie,
W samotne ściany ze łzami powrócę,
I o przeszłości żałośną pieśń nócę!

F. Ż.

Konstantyn Horodeński.

Powieść kozacka.

(Dalszy ciąg.)

V.

Przestała skrehotać pstrokata sroczka i odleciała gdzieś het daleko — musiała wszystko wykrehotać, co tylko wiedziała.

Na niebie czarno, ledwie kilka drobniutkich gwiazdek złotemi oczkami błyska, i na ziemi nic nie widać, — od południa wiatr wieje i dziwno szumi kłosami zboża. — W Halczyńcu siole gdzie niegdzie z okien światełko migoce, a pies w kołowrocie podziawkuje.

Stary Anton dochodził do sioła, patrzył jak światełka jaśnieją, słuchał jak wiatr szumi po zbożu, jak psie dziawkanie dzwoni w powietrzu — i dumał i nucił

Światło błyska, pies szczeka,
Żyją ludzie w tém siole —
Nikt tam na mnie nie czeka
Z chlebem, z solą, na stole.

Niech kto pozna mnie dziada —
Niech mym słowom zawierzy;
Haj! haj! biada mi, biada,
Zmówię kopę pacierzy. —

Aż tu wrzasnął głos: »Stój człowiecze! a zkąd ty?« — »Tutejszy, panie bracie.« — »Kto ty?« — »Anton Kaczorowski.« — »Takiego człowieka ja tu nie znam — chodź do dworu, — hej, Żurba! ty do kołowrota, ja poprowadzę.«

Stary Anton po głosie nie poznawał tego człowieka, nawet uchu jego zdawało się słyszeć głos Poleszuka; — w ciemnościach nie widział twarzy strażników — pomyślał sobie: licha godzina przyszła na sioło, kiedy tak go pilnują, jak obozu przed nieprzyjacielem, — i szedł powoli. — Choć sucha była ziemia, w jedném miejscu poczuł nogą błoto kałuży, przypomniał sobie to pod parkunem cerkwi, spojrzał w górę, i ujrzał, jak trzy czarne kopuły kąpią czoła w czarnym przestworze, popatrzył w prawo, tam w okienkach światełko błyska, to karczma — oh, nie te to światełko, co tam przed siedmią laty świeciło, ale tak świeci, jak dawniéj, — miło mu w duszy, ale i smutnie zarazem. Na dziedzińcu psy zaszczekały, ale nie znanemi głosy, jak to kiedyś bywało; — we dworze ciemno, nieludno, nie tak, jak za pana Konstantyna.

Do kuchennéj izby zawiedziono Antona; tam jakiś człowiek, jak wieprz opasły, zyzowaty i łysy, chrapawym głosem o wszystko go wypytał — i rzekł: »Nawidzony dziadu, jutro cię do pana zawiozą.«

Ni kawałka chleba, ni słomy na posłanie staremu nie dano — on zabolał i podumał sobie: przyjdzie na was koniec, nie długie wasze panowanie.

VI.

Jak się siwe sokoły z gniazda rozlecą, długo, długo po świecie latają, Bóg wie, w jakie strony — a kiedyś, kiedyś znowu się zlecą, i poklekoczą sobie w dzioby o ubiegłych czasach — bo sokoły nie jak góry, ale jak ludzie zdybywać się mogą na tym tu Bożym świecie.

Kuternoga już spanoszał i panka udawał; w ustach ciągle: hej, pódź tu! albo: poszedł precz! — na człowieka nie ze starszyzny, nie na szlachcica, jak na parszywego psa poglądał. Kiedy przed nim stawiono Antona, on dobrze poznał, że to stary piastun jego i Konstantyna; choć nogą kuterlawił, ale za to mu Pan Bóg dał oczy bystre i pamięć niczego. — Długie brwie nasępił na oko, strasznego chciał udawać — nawet wzdął policzki, jakby to on był taki chwat.

»Co ty za jeden psia duszo?« — »Anton Kaczorowski, wielmożny panie, czy to pan mnie nie poznał? prawda, dawne czasy — ja się przestarzał — a ...« — »Dosyć tego — a twój pan gdzie?« i wodził okiem po starcu, jakby chciał przewiercić na wskroś jego myśli. — »Ja niewiem, czy na Krymie ...« — »Mów prawdę, stary psie!« — i spanoszony kuternoga nie strachał się podnieść rękę na swojego dawnego piastuna. — »Przysięgam Bogu, że ja prawdę mówię.« — »Nauczę ja ciebie prawdy — hej!« — wszedł sługa przechrzta — »zaprowadzić tego huncwota do więzienia, niech się tam zobaczą — okuć go dobrze — ja was nauczę — na mnie zdrady — huncwoty na szubienicę!« — Antona wyprowadzono, on ani słowa nie mruknął, tylko głową potrząsł, a Mikołaj Horodeński pienił się ze złości i drzał ze strachu, oboje to zrobił na jeden raz.

Ciemne to więzienie w tym Berdyczowskim zamku, pieczara pusta, głucha, nawet nietoperz tam nie zaleci, ni szczur, ni kuna się zawałęsa, tylko Hnyłopiat bezustannie w ucho więźniom szemrze niby piosnkę tęsknoty do wolności. — Tam prowadzono starego Antona. — Przy bladém świetle latarni po prawéj i po lewéj stronie widział mnogich więźniów, w kajdanach na nogach i na rękach, za szyje poprzykowanych do mura, jak brytany, — dźwiękiem sierdzistéj rozpaczy w ojca, w matkę, w djabła łajali kuternogę i jego zbirów, — każdy się dopominał, jakby o jakie dobro — trzysta djabłów by wasze dusze zabrało, a kiedy na mnie koléj — psia jucha, hycel kuternoga, na pohybel jego duszy! Strażnicy na całą odpowiedź kijami składali więźniów i wiedli daléj Antona. — Jemu zdało się słyszeć znane głosy, ale przy migającem światełku w obrośniętych i dzikich twarzach nie mógł poznać ani jednego znanego sobie lica.

Szli daléj aż do głębi pieczary, jeden ze strażników rygiel powiercił i drzwi otworzył; tam także tylko dwóch ludzi było, oba leżeli na słomie i twarze mieli poodwracane do ściany — ci milczeli, ani klątwy, ani złorzeczenia z ust nie wypuścili. Strażnicy na nich nic nie przemówili, czy z trwogi, czy z uszanowania. — Antona tam przykuto i strażnicy wyszli.

Taka ciemność w pieczarze, jak w grobie; Anton westchnął, a dwaj więźniowie przemówili do siebie o nowym towarzyszu; starzec ucho natężył i zawołał: »Panie mój watażko Konstantynie!« — »To ty, mój stary Antonie?« — Obydwa łańcuchy brzęknęły, widać, że obydwa chcieli się rzucić sobie w ramiona i powitać się, jak się u Lachów witali zawsze, młody pan ze starym sługą; stary Anton, zwyczajnie dziad, smutnie westchnął, a Konstantyn Horodeński, bo to był on, zgrzytnął zębami. »Ty tutaj, stary?« — »Tutaj, panie mój!« i nieśmiał młodego pana o nic zapytać. — »Mów nam, jakim sposobem się tu dostałeś.« — Anton posłuszny woli pana długo opowiadał, jak zostawał w jasy-

rze u Krymskiego hana, jak pan han dobrodziéj Krymu i Budziaku wypuścił na wolność jeńców kozaczych z warunkiem, aby szli służyć Chmielniczenkowi, przeciwko szlachcie Polskiéj. — On Anton drogę zmylił, nieposzedł do Perejasławia, ale od słobody do słobody, od futora do futora, dostał się do Halczyńca sioła, a ztamtąd tu do więzienia — i po głosie widno było, że wtenczas, kiedy się smucił złą dolą swojego pana, swoją dolą się radował, że był przy panie, którego wypiastował na swoich rękach. Skończył mówić, chciałby wiedzieć, co się z panem działo przez te czasy, a on nic niezapytał, bo to watażka.

Konstantyn Horodeński zapewnie zgadł myśli Antona, zaczął mówić: »Z Krymu dostaliśmy się ze Stepanem do Wołoszy, a z tamtąd do krasnych Jas — ten pan hospodar przyjął nas chlebem i solą, ale w zamian żądał naszéj krwi i naszych szabel, on prowadził wojnę przeciw Bisurmanom — o takie rzeczy kozaka dwa razy się nie prosi, — siła miesięcy hulaliśmy za Dunajem i za Bałkanami, — ale jest wszystkiemu koniec. — Mandrówka po czużynie się sprzykrzy, wilk chowany i na starość ciągnie do lasu, i kozakowi chce się do ojczyzny; — rzuciliśmy Wołosze, pokłoniwszy się za chleb i za sól, a jaka była nasza robota, o tém najlepiéj powiedzieć mogą Bisurmanie, popamiętają oni nas długo. Po drodze nadybywaliśmy obcych ludzi, od nikogo nie można było się dowiedzieć o naszych. Tu w Berdyczowie dowiedzieliśmy się, że brat Mikołaj mieszka; pomyśleliśmy, on nam wszystko powie. — Przyjął nas hojnie, mnie zwał swoim panem dobrodziejem, Stepana dobrym przyjacielem. — Mówił, że chcąc ochronić nasz majątek, przystał na stronę Chmielniczenka, ale że wszystko, co moje, odda, — Stepanowi powiedział, że pan Neczypor Solecki i czarnobrewa Tetiana pojechali w kraj lacki. — Piliśmy i hulaliśmy, ażeśmy się z nóg pozwalali — a kiedyśmy się pobudzili, byliśmy ot tu, jak teraz. Ja niewiem, co za djabeł przystąpił do kuternogi.« Udawał w słowach wesołość, żeby niebardziéj smucić starego Antona, ale w sercu jéj nie czuł. — Stepan Solecki cały czas przemrukiwał: »Kuternoga zdrajca, huncwot, psia wiara.

Wtém w stronie przeciwnéj drzwiom zapiszczało, jakby wiercenie klucza w zamku, zaskrzypiały wrzeciądze, i światło błysnęło na więzieńca. — Przechrzta wierny sługa kuternogi wszedł do więzienia z dwoma latarniami i przyświecił twarze więźniów — a we drzwiach niewiasta w bieli, trzymana za rękę przez kuternogę — boleśnie krzyknęła: »Konstantyn — mój brat!« i osunęła się na kolana przed Mikołajem Horodeńskim. — Więźniowie targnęli się na łańcuchach; — sługa przechrzta żywo wyszedł z więzienia, drzwi się zawarły — i to wszystko stało się tak szybko i tak krótko trwało, jak zjawisko jakie, jak senna mara; — ciężko było okiem, cały obraz zachwycić, a cięższéj jeszcze, w myśli go zatrzymać. — I znowu ciemno, głucho w więzieniu, a Hnyłopiat po swojemu szemrze — i mruczy w ucho.

VII.

Na pustyni, na ogorzałym dębie siedzi kraska, promienie słońca igrają z jasném pierzem, a ona smutnie główkę pochyliła i jeszcze smutniéj od czasu do czasu wrzaśnie.

Na wieży Berdyczowskiego zamku była komnata, strojnie przybrana, ściany ociągnięte powołoczą, na podłodze barwiste kobiercy, a w około wezgłowia wschodnie; po wschodniemu w alabastrowych urnach tliły się wonne kadzidła. — Tam była dziewica, ale nie odaliska wschodu, nie trawiła myśli marzeniami rozkosznego kochania, nie usypiała tém omdleniem niemocy, co zawsze w ślad bieży, po szczęsném i jednostajném kochaniu. — Na twarzy taka blada, jak grobowy marmur, usta ledwie się krasą cienią, błękitne oko już się nie iskrzy żarem uczucia, ale jeszcze błyszczy od łzy — a kibić taka wiotka, taka nieziemska, że zda się z lada wiatrem uleci ku niebiosom, do rodzinnéj siedziby duszy; jednak była piękna, była urocza, — połtajnia krasy owiewała ją do koła, i nęciła serce ku niéj, i miłością i litością. — Oparła czoło na dłoni, nie płacze, nie wzdycha, ale po twarzy widać, że puściła myśl na gorzkie dumki. Taką była Tetiana Solecka.

Ona widziała śmierć ojca, śmierć matki, napad i spustoszenie rodzinnego domu, a z rozpaczy i przestrachu serce jéj nie pękło, dusza nie wydarła się z łona, bo taka była Boża wola. — Mnogie a mnogie tygodnie przepłakała w więzieniu u Mikołaja Horodeńskiego, a oczów sobie nie wypłakała. — Dotąd darmo jéj groził, darmo ją błagał kuternoga, aby z dobréj woli została jego żoną. — Zawsze jedno i toż samo powtarzała: »nie niechcę — nie nigdy nie będę!« — Kuternoga miał siłą, miał władzę nad słabą dziewicą, a nieśmiał ich użyć; on ją kochał: i brzydka dusza kochać może. — W dzień sierdził się i przyrzekał samemu sobie — zmuszę — stanął przed dziewicą, zastrachał się i odchodził, szemrząc w myśli; jutro zrobię, — i tak ciągle było. — Dziewicy nie miłem było życie, ciężko, gorzko na sercu od złéj doli, ale bogobojna dusza cierpiała i korzyła się przed Bogiem, jak męczenica pańska.

Teraz Mikołaj Horodeński nowy cios dziewicy zadał, pokazał brata i kochanka w więzieniu, w swojéj mocy, i powiedział: »Tetiano, nie chcesz mnie dobro-

wolnie za męża, im kaźń i śmierć w twoich oczach — a potém zobaczemy! — bez przymusu, bez szlochów przed ołtarzem przyrzekniesz, być moją, moją na zawsze, nazajutrz dzień, im wolność i swoboda, a nam szczęście; — namyśl się do jutra. Ja ci przysięgam, niech mnie djabli żywcem porwą, jeśli nie dotrzymam, co przyrzekam; — do jutra, do jutra!« takiemi słowami kuternoga oddał dobranoc Tetianie.

Dziewica noc całą oka nie zmrużyła, przed bezsenną myślą cały świat mar się przesnuł. Jakby na jawie widziała pożar rodzicielskiego domu, dzikie twarze Tatarów — słyszała krzyki przestrachu, jęki śmierci i wrzaski dziczy, — widziała umierającą matkę, skrwawionego ojca, oboje do niéj wołali: ratuj brata — ocal nam syna — ocal ostatniego potomka Soleckich rodziny! — widziała miecz nad gardłem kochanka, sznur śmierci na szyi brata, obydwa ku niéj wyciągali ręce, i oczyma zdawali się błagać: życia — życia! — Kilka razy porwała się z miejsca, przeciera oczy — nie śpi — a wszystko to słyszy — wszystko to widzi. — Te mary męczyły ją do białego dnia; z białym dniem one znikły, a ona pomodliła się, i wtenczas to dopiero siadła na wezgłowiu, sparła czoło na dłoni i puściła myśli na gorszkie dumki.

Drzwi się otworzyły i wszedł kuternoga — u niego niepewność w oczach — dziki smutek na czole, a uśmiechem krzywi usta. — Wziął za rękę Tetianę, ona mu jéj nie wyrwała, jak to bywało dawniéj, — pocałował — »A cóż, krasna panno? « — »Pójdę za mąż.« — Padł jéj do nóg — »Za mnie, o moje kochanie!« — Widno, że wszystkie siły ducha zebrała na odpowiedź, bo głośno nie rwanymi łkaniami rzekła: »Za Mikołaja Horodeńskiego, ale dziś ślub, dziś wolność memu bratu i Konstantynowi,« — niedomówiła, głos jéj zesłabł i wzdrygnęła się. — On powstał — »Tetiano, dziś ślub, jutro im wolność.« — »O nie . . . . dziś!« — »Niemogę!« czy odgadywał jakie postanowienie dziewicy, czy dla innéj jakiéj przyczyny, mimo szczęścia upierał się przy swojém »Niemogę — niemogę — jutro dopiero!« — »To i ja niemogę!« — Nic dzikszego, jak człowiek, co z nagłego szczęścia do gniewu przychodzi, zaiskrzył okiem kuternoga — »Nie możesz? a więc dziś im śmierć!« — Ona milczała. — »Niechcesz? — poczekaj! — zaraz — w twoich oczach! « i obrócił się do wychodu. — Ona porwała go za kontusz — »Czekaj! — mogę — chcę — dziś będę twoją!« — i załamała ręce.

VIII.

Kwitnie kalina przy dereniu, wicher po świecie kręci, drze się kwiat kaliny i nawet nie poszemrze jękiem.

We wtorek nad wieczorem był ślub w Berdyczowskiéj kaplicy; pan młody kuternoga, ryżo-włosy, paskudny na licu, jak piekielne dziecko, jak sam szatan wyglądał. — Panna młoda blada, chwiejąca się, smutna, jakby wstała z martwych grobu. — On nie poważył się uśmiechać, a ona nie zapłakała, — ale oboje wymawiali słowa przysięgi. — Kapłan ze drzeniem błogosławił temu małżeństwu, a dwóch sług Kuternogi za świadków służyło, a zresztą była pustka w kaplicy.

W komnacie zastawiona godowa wieczerza, ale na dwie osoby tylko; wina zamorskie, kosztowne jadła, bakalie, owoce, cukry na srebrze i złocie stały — ale kto je będzie pożywać. — Oblubienica siadła w kącie i duma; — oblubieniec jakieś rozkazy daje słudze przechrzcie, ale cicho, więcéj na migi jak na słowa. — Trzy klucze wziął od przechrzty i schował za nadrze, kazał sobie coś jeszcze dać, to pęk mniejszych kluczów, i takoż schował. Potém mruknął słowo — »jutro!« — i pokazał ręką, jakby chciał pchnąć nożem — nareszcie przechrztę odprawił za drzwi.

Tetiana uważała wszystkie jego migi i słyszała słowo »jutro«, musiała odgadnąć ich znaczenie, pojąć myśl kuternogi, niewieścim obyczajem szybko, żwawo, jakieś nowe a dziwne postanowienie zrobiła. — Obróciła się do swojego męża, i po raz pierwszy uśmiechem go powitała, jak konająca matka, co przed dziećmi chce zataić swoją boleść. — Kuternoga nigdy uśmiechu na jéj twarzy nie widział, chciał się jéj do nóg rzucić, całował ją w ręce — ona pozwalała; — siedli do wieczerzy, — ona jadła i jemu nalewała wina w puhar, — on pił z radości, z nałogu, oczy mu się iskrzyły, twarz kraśniała, nawet w głowie poczęło się męcić — ale czyż odmówić można, kiedy kochanka, oblubienica nalewa i prosi: »Pij — pij.«

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd pism.

Historya Literatury polskiéj *przez Michała Wiszniewskiego, Professora Wszechnicy Krakowskiéj. W Krakowie, tom pierwszy. Cena 24 zł. p.*

(Ciąg dalszy.)

Taką literaturę zastał wiek XVI. Zaraz na jego początku powstają w Europie niespodziane zmiany, zawichrzenia i krwawe wojny; lecz Zygmunt starego od młodości rozumu zasłania Polskę od ognia wojny religijnéj. Rozpoczyna się i u nas walka, ale tylko piśmienna; dyssydenci piszą po polsku, tłómaczą Pismo S., kłócą się ze Skargą. Żaden przeciwnika orężem dyalektycznym nie pokonał, ale Polacy własnego języka używać się nauczyli. W tych złotych dla literatury czasach nie było poezyi polskiéj, ale była polska wymowa. Między tém rozchełznana szlachta pisze i drukuje,

co chce, chowa po domach swoich Socynianów, buduje dla nich zbory i szkoły, wyłamuje się z pod sądownictwa biskupów, ale sobie Zygmunta III. aż ze Szwecyi sprowadza. Pod Wazów i Sasów panowaniem wszystko się zmienia. Dyssydenci i Dysunici w prześladowaniu; Jezuici kłócą się z akademią Krakowską i Pijarami w Wilnie, wszędzie zakładają szkoły i przywracają wieki scholastyczne. Część narodu, najwięcéj z powodów religijnych, na własnych rodaków oręż podnosi; bo Protestantów z izby poselskiéj wyrugowano, a Archirejów do senatu nie wpuszczono; nie założono obiecanéj akademii w Kijowie, (choć hetman sahajdaczny Konasewicz, idąc na pokutnika do Ławry peczerskiéj, nie mało na jéj założenie groszy był zapisał) i dano zburzyć Kudak. Szwedzi mszczą się na Polakach za to, że ich królowie snopek w herbie noszą. Nauki i oświecenie upadają. Wśród ciemności lęgną się brzydkie przesądy; głupstwo pastwi się nad rozumem; ślepi prowadzą jednookich. Panowie piszą pacta conventa, frymarczą koroną, odgrywają toruńską tragedyę i robią zajazdy. Wino węgierskie rodzi się na Węgrach, a wychowuje w Krakowie. Szlachta więc pije, pławi czarownice w stawie, zrywa sejmy i za łby się wodzi. Młodzież pod wąsem uczy się Alwara. Akademicy Krakowscy piszą kalendarze i prognostyki, i wraz z całą zgrają pismaków, dmą w ogromne trąby pochwalne na cześć szlacheckich splendorów. Już teraz, kto tylko pisze, chwalić musi koniecznie; na jednym tylko Zoilu wszystko się skrupiło. Przelękniona losem biskupa Piaseckiego historya zamilkła. Uczeni ubóstwo, nagość swojego rozumu osłaniają łaciną, nawet w potocznéj mowie do polskich łacińskie mieszają wyrazy. Rozumy głębiéj wnikające filozofia scholastyczna w żelazne pochwyciła pęta. Gdy się to dzieje wraca z cudzoziemskich krain Konarski, a jak zwykle ludzie wielcy nie zraża się trudnościami, krząta się, uczy, pisze, drukuje. Ale nie sporo mu idzie, bo nie przywiózł z sobą pochodni, lecz tylko zakopconą latarkę; wszelako i przy bladém jéj światełku, dziwnie mu się w Polsce wszystko wydało. Zaledwie oczom swoim uwierzył, co tu jednowieczna ciemnota z narodu niegdyś tak oświeconego zrobiła: gdzie tylko szkłem obrócił, tam zaraz okropny nierozum w całéj brzydocie swojéj z ciemności wynurzał się: zwrócili na szkoły; widzi Alwar, co jakby upiór jaki, rozumy młode w samym zatłumia kwiecie, i widzi ludzi, którzy od zdrowego rozsądku odwykać i jemu ufać niekażą. Zaczął więc podkopywać powagę Alwara i innych krajowych przesądów; a natomiast nowsze szczepić wyobrażenia. Marszczyli się na te nowości starzy Polacy, głaskali podgolone czupryny, poprawiali niecierpliwie lite pasy, żal im było Alwara i panegiryków, do których od młodości byli nawykli. Wtém głośny i potężny zakon Lojoli upada. Podła chciwość, rozrywa majątki pojezuickie i rozprasza książki. Resztę cnotliwi ratują; Chreptowicz podaje myśl kommissyi edukacyjnéj; Kołłątaj budzi od lat stu drzymiącą akademię Krakowską. A gdy wszędzie brak rozsądku, brak logiki czuć się daje, Ignacy Potocki nie znalazłszy w kraju, aż do nauczyciela księcia Parmeńskiego po logikę dla Polaków posyła. Atoli i w kraju księgi elementarne się piszą. Kopczyński na wielkich tablicach spisuje wyrazy z ich odmianami i układa Grammatykę. Stanisław August daje obiady czwartkowe i bije dla uczonych medale. W Puławach chowają i pieszczą poetów. Na scenie pokazują dzieła oryginalne. Ks. Jezierski, ks. Staszic i jeszcze jeden, tną prawdę szlachcie pochwałami rozpieszczonéj, a wtém piorun spadł z nieba; dom oddawna spróchniały obalił. Ci, co dotąd mówili po łacinie, podcinają sobie kontusze na fraki, nie chcą więcéj golić głowy, mówią i piszą po francuzku, i dzieci swoje włóczęgom z Francyi na wychowanie oddają. Nowe więc w naukach i oświeceniu powstaje chaos. Po słabéj czasów Stanisławowskich oświacie powszechne zamącenie głów nastąpiło. Miejsce Arystotelesa zastępuje Wolter i Rousseau. Pamiętniki francuzkie, obrazy przedpokojowych przebiegów i plotek, stały za historyą; ci, co dawniéj Wirgiliusza czytali, czytają teraz Delilla; unoszą się nad komedyjkami, które w Paryżu z oklaskiem przyjęto; piszą wiersze i to nazywają poezyą. Literaci żalą się na ubóstwo polskiego języka, odgrażając się nawet, że go doskonalić poczną. O kwitnącéj niegdyś wśród Polski literaturze cerkiewnéj nic nie wiedzą, a o Zygmuntowskiéj mało co. Języki słowiańskie zupełnie im nieznane. Biskup Kossakowski jadąc do wód Karlsbadskich, odkrywa przypadkiem naród, mówiący bardzo podobnym do polskiego językiem, a w Warszawie słuchają go z zadziwieniem, jak niegdyś Krzysztofa Kolumba na dworze Izabelli. Gadano wiele o potrzebie umienia, objaśnienia i pisania historyi krajowéj; wszelako topografia pałacu wersalskiego, żywoty kochanek wielkiego Ludwika i szczegóły jeleniego parku, znajomsze im były, niż dzieje cnotliwéj Jadwigi i dwór Jagiellonów. Były to wreszcie błogie dla literatów czasy; kto przetłumaczył jaką książkę francuzką, zostawał literatem. Kto tuzin wierszy Rasyna, Floryana lub Henryadę Woltera przełożył, pisał się poetą. Sława jego szerzyła się po wszystkich zakątach pałacowych, choć go naród nieznał. Pochwalony polską francuzczyzną przy mahoniowym stoliku, ukłonił się grzecznie i odtąd na wawrzynach zasypiał. Jeden tylko Tadeusz Czacki odgrzebywał gruzami przywaloną przeszłość, a Woronicz na ton swojacki lutnię nastroił.«

»Wtém nowa na zachodzie zdarza się zmiana. Napoleon dwakroć upada. Następuje dla literatury polskiéj piękna epoka od 1815. do 1830. r. Naprzód Bentkowski występuje ze swoim spisem książek polskich. Nigdy jeszcze książka tak suchéj treści, bibliografia słowem, z takim zapałem przyjętą nie była, i tak wielkiego na literaturę nie miała wpływu. Miłośnicy i wyznawcy lekkiéj francuzkiéj literatury poczęli przyglądać się podartym i nadgniłym tytułom dawnych foliałów. Przeróżne ciekawe o własnym kraju wiadomości uszu ich dochodzić poczęły. Gotyckie książki, które dotąd dzieci z niańkami szarpały, albo mule w lamusie gryzły, przeniesiono teraz do złoconych komnat, gdzie obok de Pradta i Walter-Skotta, nieraz Paprockiego i Skargę widziałeś. Palone niegdyś skrzętnie druki Wierzbięty i Rakowskie, są teraz chlubą posiadacza. Cóż dopiero za radość, co za tryumf, gdy się między szpargałami znalazła książka, o któréj sam Bentkowski nie wiedział! A gdy jaki literat tytuł takiéj książki wypisał, jużci pewien był u siebie, że ma więcéj od niego nauki i z piętra o nim gadał. Synowie tych, co się na utrzymanie biblioteki Załuskich ledwie na trzy tysiące złotych zdobyli, stali się bibliomanami, a przedaży duplikatów Puławskich tylko Dybdyna brakuje. Gdy się to dzieje, tymczasem poezya, kwiat literatury, krótką z próżnością wierszokletów stoczywszy walkę, rozkwita. Wschodząca jéj jutrzenka rzuca złotą barwę na całą przeszłość. Wszystko świeżą i swojską przybiera postać. Jakieś nieznane dotąd lesiste postacie aż z po za Mieczysława czasów wychylają się z ciemności. Odświeżają się rysy trzech pierwszych Bolesławów. Uderza patrzących wielkie podobieństwo w twarzach Bolesława wstydliwego, Kazimierza Jagiellończyka i Zygmunta III., którzy najdłużéj na tronie siedzili. Tak się historya przeszłości teraz wydaje. Tymczasem nie tylko literatura Zygmuntowska, za Stanisława zapomniana, ludzi uczonych zajmuje. Młodsi z nich, czerstwego umysłu i ciała, z kosturem w ręku i torbą na plecach, pieśni, gadki, przypowieści i powieści gminne, te dziko rosnące kwiatki, po siołach zbierają, a gdy z zaniedbanym dotąd plonem literatury, nie rzadko czasów słowiańskich sięgającéj, wesoło do domu wracają, jeszcze niejeden uczony niewie, na co im to wszystko się przyda. Rzucając wątpliwém na te pieśni okiem, dziwią się, jak można dla nich nadwornego pochlebcę Oktawiana zapomnieć. Mędrcy szkolni zasklepieni w swojéj nauce, otoczeni stosami książek, nie widzą, że już literatura wyszła z ciasnéj izdebki na otwarte pole i z książek wystąpiła. Jeszcze niedawno Linde zbierał wyrazy polskie z książek, teraz Józef Dunin Borkowski przy odgłosie myśliwskiéj trąbki wyrazy łowieckie pozbierał, a Józef Kremer Krakowianin, wyrazy geograficzne na górach i skałach Karpatów, przy zielonych nurtach Morskiego-Oka znajduje.»

»Takiego to różnolicowego obrazu choć słabe nakreśliłem rysy dla rodaków i pobratymców; bo dla wszystkich słowian nie może być obojętną literatura, która na starożytnych zapatrywać się przestała, za Renem już dla siebie wzorów nie szuka, która wróciwszy na łono natury, o własnych już kroczy siłach, sama z siebie snuje, i z wnętrza rozwija się, któréj nakoniec jedne książki drukują się w Londynie (Marya Malczewskiego), drugie w Petersburgu.«

»Obejrzawszy się na literaturę zachodniéj Europy i pobratymców, pociesza jeszcze to chlubne przekonanie, iż literatura polska już nieposlednie między europejskiemi zajęła miejsce i jest dzisiaj jedną z kwitnących. Historya więc literatury spełnionéj i kwitnącéj zajmie zapewne każdego myślącego człowieka, choćby niebardzo jeszcze zaprawione do historyi miał oko. Wreszcie zawięzuję słowy Długosza: *Ex eo autem praecipue veniam datum iri opinor infantiae meae, quod aliis doctis et eruditis viris silentibus, prior ad scribendum consurrexi, malens aliquid parum culte, parumque concinne, quam nihil scripsisse.*«

Skromność autora kierowała w napisaniu tych ostatnich słów kronikarza. My przyjmijmy to dzieło z wdzięcznością godną daru, i oczekujmy z utęsknieniem reszty jego tomów.

W dalszym ciągu przedmowy uprasza autor znawców i miłośników literatury, posiadaczy rzadkich książek i rękopisów, aby go wiadomościami szczegółowemi wspierać raczyli, toż żywotami współczesnych naszych pisarzy, o których bliscy znajomi i przyjaciele najwięcéj powiedzieć mogą.

Wstęp podzielony jest na trzy części. W pierwszéj mówi autor o zmianach i wpływach, jakim języki słowiańskie a szczególniéj polski ulegał, porównywając je ze zmianami i wpływami języków germańskich i romańskich. W drugiéj podział dziejów literatury ojczystéj na 9 epok, którym za zasadę służą wielkie literatury chwile, osobną napiętnowane myślą. Pierwsza epoka przedchrześciańska; druga od Mieczysława do założenia Akademii Krakowskiéj za Kazimierza W. i do statutu Wiślickiego; trzecia od początku 15go wieku do początku 16go, czas, w którym język polski uległ pod przewagą łaciny; czwarta epoka złota literatury ojczystéj, epoka Zygmuntów, Kochanowskiego, Orzechowskiego, Skargi; piąta zaczyna się w połowie 17go wieku i zajmuje czas przewagi Jezuitów i upadku nauk w Polsce, aż do Konarskiego; szósta: wiek Stanisława Augusta, początek francuzczyzny; siódma przechodzi zakres czasu między 1795. a 1815, gdzie literatura i język francuzki zupełną nad ojczystym otrzymał przewagę — a z drugiéj strony Czacki usiłował podźwignąć szkoły i oświatę; ósma piętnastolecie do r. 1830., walka romantyków z klassykami, wybijanie się literatury z pod przewagi obcéj i pierwsze jéj poczucie własnych sił przez 9 wieków obczyzną przytłumianych; dziewiąta zajmuje się obecną literaturą i dochodzić ma do 1840. r. Trzecia część wstępu wylicza zatraconych lub dotąd w rękopiśmie pozostałych dziejopisów. Czwarta: źródła do dziejów piśmiennictwa polskiego.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Z prawdziwą przyjemnością donosimy czytelnikom, a szczególnie czytelniczkom naszym, o wyjściu pierwszego numeru zapowiedzianego pisma: *Dziennik domowy,* który wszelkie oczekiwania przewyższył; nie tylko albowiem co do wydania i rycin wyrównywa najpierwszym paryzkim dziennikom mód, lecz co do wyboru artykułów przewyższa wszystkie podobne, u nas dotąd wydawane pisma. Zostawiając obszerniejsze sprawozdanie i uwagi nasze nad całém tém przedsięwzięciem na późniéj, kiedy już z więcéj numerów o duchu, w jakiém pismo to redagowane, sądzić będziemy mogli, poprzestajemy dziś tylko na wyrażeniu życzenia, aby i następne numera zawsze świeże, jędrne, zawsze w duchu postępu były, a wówczas pewni jesteśmy, że publiczność przedsięwzięcie to jak najbardziéj wspierać będzie, a tém samém okaże, że umie cenić starania i pracę szanownego wydawcy.

Szanowny i uczony J. Kremer pracuje, jak nam donosi, nad jeografią fizyczną, którą wkrótce ukończyć się spodziewa.

W Warszawie umarł b. professor anatomii przy zniesionym uniwersytecie warszawskim M. Roliński. Pozostawił on wiele dzieł anatomicznych polskich w rękopiśmie. — Z dzieł beletrystycznych wyszłych w przeszłym miesiącu w Warszawie, zasługują tylko na wspomnienie noworocznik *Pierwiosnek* na r. 1840. i nowy romans Marryata *Snarley-Yow* w przekładzie polskim. — Nowy wydawca gazety porannéj p. Skimbrowicz, młody i pięknie wykształcony człowiek, wydaje od 1. b. m. zamiast dotychczasowego *pisma dodatkowego* dodatek, który będzie miał nazwę: *Piśmiennictwo krajowe.* Jocher, Tyczyński autor Amerykanki, Groza poeta, Józef Korzeniowski, Michał Wiszniewski, Kraszewski i Grabowski obiecali, jak prospekt ogłasza, wspierać to pismo.

Nowości francuzkie. Guizot wydał w przeszłym miesiącu 4 tomy dzieła: *Vie, correspondance et écrits de Washington* (całe dzieło obejmować będzie 6 tomów) — Sismondi 22. i 23. tom swéj *historyi Francyi* — a Capefigue swoje dawno oczekiwane dzieło: *l'Europe pendant le consulat et l'Empire de Napoléon.*

W Pradze wyszedł w téj chwili zeszyt pierwszy tomu pierwszego zbioru beletrystycznych i naukowych artykułów, które pod nazwą *Dennice* J. Maly w czeskim języku wydaje; znajdujemy tam przełożony z pisma naszego *pojedynek Tarły* i t. d.

Najnowszy zeszyt na r. 1840. szacownego pisma Freihafen zawiera znów kilka bardzo zajmujących artykułów, mianowicie artykuł p. Carus: das Element des Wassers; Oestreichische Gesellschaft und Aristokratie; i pięknie napisany artykuł der Kościuszko-Hügel bei Krakau przez Mundta. — Jak wiadomo, miał p. Mundt zamiar zwiedzić królestwo polskie, lecz rząd rossyjski zabronił mu wstępu.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*